



Konkurs literacki
dla twórców-amatorów

WYJDŹ

ZUKRYCIA

ORGANIZATOR



Zagłębiowska
MEDIATEKA

Zwycięskie prace

rok 2023

Poezja

Interpunkcja świata

I miejsce: Natalia Zoń

Przepelniona literami

Siedzę pośrodku słów

Zbyt doniosłych, by je zrozumieć

Zbyt wulgarnych, by je przywołać

Zbyt naiwnych, by w nie wierzyć

Sunę przez życie pełne frazesów

Niewypowiedzianych zdań

Niedotrzymanych obietnic

Niespełnionych wyobrażeń

Zbłąkana w myślach

Pełnych pytańników, wykrzykników i myślników

Stawiam kropkę.

Dzieło życia

Wyróżnienie: Jan Radzięta

Prawdziwa wolność to swoboda wyboru śmierci

Leży poeta w kałuży, leży poeta we krwi
Nie ma zeń pożytku tak teraz, jaki i za żywszych dni.
Pisał szlachetnym piórem
Po szlachetnym papierze,
Jeno myśl stała mu murem,
Myśl, co życie odbierze.
I tak rył szlachetnym piórem
Po szlachetniejszym papierze
Atramentem bryzgając kartki
Aż wysiłek sensu nabierze.
Nic to nie daje, flaszka już pusta
Umowa zawarta
Czas łączyć usta.
Ostatnie tchnienie przelane na karty -
Cierpieniem zalany, w cierpieniu zwarty.
Leży poeta w jeziorze, leży poeta we krwi
Napełni natchnieniem zastępy pokoleń,
Zginął za lepsze dni.

Pierwsza zasada męskiej poezji. Inicjacja

Wyróżnienie: Aleksandra Dudek

podobno są w Avignon
paradują nagie
i świecą szczeliną
między nogami

podobno są w Avignon
tak słyszałam
od jednego kubisty
co nie żałował na nie pędzla

to i ja nie pożałuję im słów

zatem moje piękne
zużyte kobietki
moje napelnione
po brzegi ladacznice
niosę wam sonet
by po wszystkim
nie piekły was gardła

*Przygasły lampy naftowe, żeliwne.
Na ulicę wyszedł tłum z bankietu.
Chwiejne, wczorajsze aromaty piwne
Rozkwitły na kształt gorzkiego bukietu.*

*Kroczy gromada na koniec alei.
Siedzą tam panny już gotowe na wsad.*

*Skłębione wokół szkarłatnej budlei,
Czekają na dzikiej namiętności sad.*

*I oto pierwsza w rytm się unosi.
Skacze jak zagrają biodra kochanka.
Ra upada, raz w górę się wznosi.*

*I tak tańczują do samego ranka.
Ledwie co wpada do starej sakiewki.
Ciężki jest żywot z Avignon dziewczki.*

i tak właśnie zostałam poetą
z krwi i kości bratem Wergiliusza
wspięłam się po
męskiej poezji urwach
bo jak wiadomo
każdy poeta
musi pisać o...

Zwycięskie prace

rok 2023

Proza

Bajla Zigelbaum

I miejsce: Tomasz Marusa

Tomasz, jak to czasami się zdarza, obudził się kilkadziesiąt lat wcześniej jako swoją alternatywną osobowość czyli Serafin Maurycy Grzdyl i postanowił coś zrobić z nadchodzącym dniem. Przez chwilę przechadzał się po mieście po czym zajrzał na chwilę do piekarni Wolfa Wengera. Za ladą stała jego przybrana córka, Bajla, a wszyscy pracownicy kręcili się na zapleczu. Jej matka, żydowska przekupka Chaja Zigelbaum, twierdziła, że nie wie, kto jest ojcem dziewczyny i w akcie urodzenia nawet nie wpisała jego nazwiska, ale kilka lat po urodzeniu córki wyszła za mąż za Wolfa Wengiera lub Węgiera według innej pisowni i Bajla po ślubie matki przybrała nazwisko ojczyma.

- O jak miło, że sama panna Bajla dogląda rodzinnego interesu w tak piękny dzień! Jeden bochenek chleba poproszę! - powiedział wesoło Serafin Maurycy Grzdyl i położył na ladzie charakterystyczną srebrną pięciozłotówkę „z panną”.

- Proszę bardzo panie Serafinie, oto pana chlebek – powiedziała Bajla Zigelbaum (lub też Węgier), po czym westchnęła i wydała resztę z pięciozłotówki pracownicy składając całą garść drobniaków żeby uzbierać cztery złote i siedemdziesiąt groszy. - Nie zauważam tylko coś pięknego ma być w dzisiejszym dniu w tym nudnym prowincjonalnym Sosnowcu... Jakaż to życiowa misja czeka na dziewczynę z Targowej? Kariera filmowa jak Poli Negri? Nie powiem... Chciałabym.

- Każde miejsce urodzenia i każde pochodzenie jest równie dobre do zrobienia kariery - nie tracił optymizmu Serafin Maurycy Grzdyl - A Jan Kiepus? Jego matka też była Żydówką, a jego ojciec też był piekarzem! Nawet mieszkali niedaleko stąd... Zaledwie w 1923 debiutował w sali tutejszego prowincjonalnego, jak wspomniała pani, kina „Sfinks”, niedaleko dworca. No i proszę, teraz światowa kariera! Albo Władek Szpilman! Przeczuwam, że też mogłaby panna taką zrobić!

- Czy pan ma zdolność jasnowidzenia? - zapytała z nadzieją Bajla. - Zobacz pan moją przyszłość?

- Można to tak nazwać – niechętnie przyznał Serafin Maurycy Grzdyl. - To bardziej skomplikowane. Wiem to i owo. Jeżeli ktoś bardzo mnie na ten temat wypytuje, to na

odczepnego mówię, że wiem to z rozkładu tarota... A wiem, że panna Bajła karierę zrobi z pewnością!

- A kiedy? Chcę potwierdzenia! Bo zakładam, że za jakieś piętnaście lat czyli w 1954 to będę gwiazdą filmową światowej sławy! Bo nie umiem śpiewać, a w filmie to każdy głupi potrafi zagrać! Mam urodę, zdobędę znajomości, podeprę to szczęściem i załatwione! Złoty Glob to dla mnie betka! A i tak będę pierwsza w Polsce z taką nagrodą! Oczywiście o ile nie zdarzy się coś nieprzewidzianego... Ale cóż może się zdarzyć niespodziewanego w Polsce lub Europie między 1939 a 1954? Wreszcie bezpieczne czasy, dwie dekady bez żadnej wojny! Ostatni raz to była ta w 1920 i wreszcie święty spokój! Niech pan Serafin postawi mi tarota, choćby tu, na ladzie!

- Dobrze, ale zaznaczam — tarot nie daje konkretnych odpowiedzi tylko wskazówki i potem trzeba umiejętnie je zinterpretować.

Serafin Maurycy Grzdyl wyjął z kieszeni marynarki swoją ulubioną talię „Tarota Magów” potasował karty, zastanowił się chwilę między „podkową” a „krzyżem celtyckim” i ostatecznie zdecydował na ten pierwszy układ. Bajła przełożyła talię trzykrotnie, a Grzdyl po rozłożeniu kart przez chwilę przypatrywał im się z uwagą.

- No i co? No i co? Jak wyszło? Będzie coś z tego? - dopytywała się Bajła przebierając nogami.

- Mocny rozkład! W kluczowych miejscach same karty z Wielkich Arkanów - Koło Fortuny, Władca i Wieża. Widzę tu niewyobrażalne zdarzenia! Jeśli chodzi o przeszłość...

- Furda z przeszłością! Było, minęło i całkiem dobrze to pamiętam! Chcę wiedzieć co mam teraz robić i co z tego wyniknie! - niecierpliwiła się Bajła – O czym mówi ta druga karta?

- To terazniejszość i leży tam odwrócona Trójka Mieczy, to ostre i niebezpieczne przedmioty... Miecze oznaczają zmagania z losem. Odwrócona Trójka Mieczy może też oznaczać rozterki duchowe, zamęt, uśpienie, osłabienie intelektu a nawet wygnanie, tułaczkę lub emigrację.

- Rzeczywiście, nie bardzo wiem co ze sobą zrobić i jak potoczy się moje życie – zastanawiała się Bajła. - Cała moja rodzina ma różne rozterki i przez to panuje pewien zamęt... Wygnanie? Na razie nikt nas nie wygania...Emigracja? Całkiem możliwe... Tułaczka? To może raczej nie.. Rodzice mają w planach wyjazd do Francji, konkretnie do Périgueux w Akwitanii. Może wszystko się uda...

- Na pewno się uda! Ta karta to przecież terazniejszość, a przyszłość zaczyna się już zaraz! Ta następna karta wcale nie jest zła... - pocieszał ją Serafin Maurycy Grzdyl.

- Dobrze, a więc teraz ta trzecia! Domyślam się, że to wreszcie przyszłość! Prawdę mówić tylko ta mnie interesuje! - coraz bardziej emocjonowała się Bajla. – Co oznacza to kółko?

- To Koło Fortuny - przedstawił z dumą Grzdyl – oznacza przemianę, szczęśliwe rozwiązanie, dobry omen, aktywność seksualną, wygraną, traf, sprzyjanie fortuny...

- Wszystko zapowiada się znakomicie! - cieszyła się Bajla. - Same dobre wieści! A mówią, że fortuna. kołem się toczy... Jakim kołem? Przecież tu są same szczęśliwe rozwiązania!

- Owszem, ale może to także oznaczać, że dobre rozwiązanie pojawi się w absolutnie beznadziejnej sytuacji. Jest fatalnie, a potem nagle robi się świetnie to oczywiście wtedy każdy cieszy się powodzeniem i puszcza w niepamięć tragiczne momenty. Tak zazwyczaj działa ludzka psychika. Wypiera zło i pozostawia wyłącznie dobre chwile w pamięci. Ktoś na przykład trafia, dajmy na to, do obozu koncentracyjnego, potem cudem go opuszcza a chwilę później osiąga powodzenie i sławę - przeprowadził brawurową interpretację karty Serafin Maurycy Grzdyl. - No i ten obóz koncentracyjny jest wtedy wyparty z pamięci i życiorysu, nie chce się o tym gadać, a dana osoba zachowuje się jakby zawsze była gwiazdą filmową...

- No coś takiego! Jak można takie zdarzenie wyprzeć z pamięci! To niepodobne! - oburzyła się Bajla. - Ja gdybym przeżyła coś takiego to na pewno nie opowiadałabym o tym, ale też nie zapomniała...

- Pewnie tak by było... Przejdźmy raczej do wiadomości, że fortuna sprzyja! - usiłował sprytnie zmienić temat Serafin Maurycy Grzdyl. - Mieć w życiu szczęście to bardzo ważne dla aktorki! Można za pomocą szczęścia nadrobić brak talentu, umiejętności, dykcji, wykształcenia... Można wcale nie mieć zawodu albo mieć jakiegokolwiek, na przykład szkołę pielęgniarstwa... Można nawet seplenić! Gdy się ma urodę...

- Pocieszył mnie pan, panie Serafinie – odetchnęła z ulgą Bajla. – A teraz niech pan coś dokładniej powie o tym kole fortuny. Mam sporo wątpliwości... Czy ono przypadkowo nie jest podobne do ruletki? Czy wszyscy którym wyszła w tarocie karta Koło Fortuny zdobędą fortunę? Fortuna oznacza bardziej szczęście czy bardziej pieniądze? A może jedno i drugie? Czy należy zajmować się hazardem? Czy fortuna będzie mi wtedy sprzyjać? Czy będę miała szczęście w miłości?

- Sporo pytań i trudno na nie wszystkie tak jednoznacznie odpowiedzieć... - zastanawiał się Grzdyl. - Nie można zdać się wyłącznie na szczęście nawet gdy ma się go więcej niż inni. Trzeba trochę rozsądku w finansach, znajomościach, karierze, rozrywkach... Potrzebny złoty środek!

- Złoty środek? - zapytała z powątpiewaniem Bajła. – To pachnie nudną „karierą zawodową” gospodyni domowej! Ja zamierzam mieć wszystko a nie zatrzymywać się w połowie drogi! Trzecia karta zdecydowanie mnie pocieszyła jakim poznała dokładniej jej znaczenie. A co z czwartą?

- Ta czwarta karta oznacza sposób w jaki należy rozwiązać problem. To Władca - Ma wiele różnych znaczeń, to symbol dominacji, przywództwa, męskości, może personifikować ojca, brata, męża lub szefa i oznaczać też skupienie, dobrą radę, pomoc i wielkoduszność.

- No to wszystko jasne! To bardzo czytelna wskazówka! - Bajła po swojemu, ale coraz sprawniej interpretowała rozkład. - Nie jest to jakaś szczególna mądrość, bo przecież każda dziewczyna wie, że jak się nie pochodzi z zasobnej rodziny i nie może liczyć na ojca lub brata, to trzeba się samemu zakręcić wokół majątku i bogato wyjść za mąż! W ostateczności można zakręcić się wokół szefa albo znaleźć doświadczonego, majątnego i wielkodusznego absztyfikanta! I wtedy on rozwiązuje wszystkie problemy. Trzeba go tylko odpowiednio podejść. Bułka z masłem

- Myślisz, że to takie łatwe? - z powątpiewaniem zapytał Serafin Maurycy Grzdyl. - By zostać gwiazdą filmową z pomocą wywrózonego Władcy, to musisz poznać jakiegoś producenta filmowego. I to prawdziwego Władcę! A tacy nie przechadzają się po Targowej...

- To trzeba go poznać tam gdzie się przechadzają! - nie traciła rezonu Bajła. - Panie Serafinie, tyle pan wie o świecie a nie ma pan za grosz praktycznego podejścia do życia! Zastanówmy się nad tym na spokojnie. Po pierwsze, kto jest teraz największym producentem filmowym?

- No, cóż - zastanawiał się Serafin Maurycy Grzdyl – przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba. Teraz to najpewniej jest Darryl F. Zanuck z 20th Century Fox. To on jest teraz Władcą w tej branży!

- Nad czym się tu zastanawiać?! Muszę zdobyć Władcę i to rozwiąże wszystkie moje problemy! Plan gotowy i problem z czwartej karty rozwiązany! Muszę tylko trochę dorosnąć, nabyć manier, nauczyć się języków i do dzieła! Już nie mogę się tego doczekać – zatarła ręce Bajła.

- Ale on jest żonaty! - Nie rezygnował Serafin Maurycy Grzdyl. – W 1924 roku ożenił się z Virginią Fox i ma z nią troje dzieci!

- A cóż to za przeszkoda? - Bajła spojrzała na Grzdyla z jeszcze większym politowaniem. - Mało to mężczyzn ma dzieci i nie uważa, że z tego powodu są martwi? Bez takich facecji! Ruszę do Europy, a taki wielki producent na pewno tu bywa... Dajmy na to w Paryżu! Czuję, że tam się to zdarzy...

- A jak będzie w podróży z żoną? Jak sobie poradzisz?

- Wielkie mi coś! Po prostu się z nimi zaprzyjaźnij! Z obydwójkiem! Trzeba sobie radzić!

- Sprytne... A nie przyszło ci do głowy, żeby się jakoś inaczej przedstawiać? Bajla Zigelbaum brzmi tak jakoś... nie filmowo. A Bajla Węgier jeszcze gorzej...Tego nawet nie wymówią w Ameryce.

- To wymyślą mi jakiś bajerancki pseudonim! Gdybym zaprzyjaźniła się z panem Darrylem F. Zanuckiem i panią Virginią Fox to byliby dla mnie po prostu Darrylem i Virginią i mogłabym coś wykonypować z ich imion, na przykład nazwisko... Dajmy na to Dar-Vi... Bo imię sobie zostawię! Bajla to ładne imię, no może trochę zmienię pisownię... Na Bayla? A może Baylla? Ładne! Jak dla egipskiej księżniczki!

- A może po prostu Bella? - podsunął Serafin Maurycy Grzdyl. – W kilku językach oznacza po prostu „piękną”! „Nefer”! Proste, krótkie, zrozumiałe! I też można zgrać babilońską lub egipską piękność!

- Bella Darvi! Panna Bella Darvi! Wielka gwiazda Bella Darvi! - kilka razy powtórzyła Bajla. - Nadaje się i nawet mi się podoba! To połączenie nie ma już zapachu ulicy Targowej! To pachnie...to pachnie... Wielkim światem! A co z naszym tarotem? Teraz piąta karta!

- Piąta karta informuje o stosunku otoczenia do pytającego - rozpoczął analizę karty Serafin Maurycy Grzdyl. - Na tej pozycji leży...

- Do diabła ze stosunkiem otoczenia! Funta kłaków to niewarte! - zlekceważyła kartę Baja. – Biednych i nieistotnych otoczenie lekceważy, a bogatych i znanych podziwia, ale im zazdrości i tylko czeka kiedy im się noga powinie! Nie potrzebuję kart tarota żeby to wiedzieć! Dalej panie Serafinie! Szkoda pana i mojego czasu na frasowanie się otoczeniem!

- Szósta karta charakteryzuje trudności, opory i przyczyny niepowodzeń... - próbował coś opowiadać na temat następnego obrazka Serafin Maurycy Grzdyl.

- Dziwny jakiś ten pana tarot! - ponownie bezceremonialnie przerwała Bajla. - Sam sobie przeczy! I to ma być system oparty na wielu wiekach mądrości żydowskiej kabały? Cóż mogą mnie na szóstej pozycji obchodzić trudności, opory i przyczyny niepowodzeń, skoro dopiero co, bo na czwartej pozycji, dowiedziałam się jak wszelkie problemy rozwiązać! Zawracanie kijem Przemszy! Następna karta wygląda na wieńczącą dzieło i zauważyłam, że skrzywił się pan jak zauważył ją leżącą na tym miejscu... Mam rację?

- Tak. Bo to niebezpieczna karta. To Wieża! Trzeba uważać! Niestety, należy do Wielkich Arkanów, trudno przełamać destrukcyjną moc Wieży... Znaczenie tej karty jest

właściwie wyłącznie złe! Niepowodzenia, które przynosi mają różne odcienie, to może być bankructwo, trudny rozwód, utrata lub ograniczenie wolności, więzienie, depresja, choroba, pustka życiowa, autodestrukcja, niemożność dokonania jakichkolwiek zmian, bezsilność, totalna klęska, katastrofa, wypadek, eksmisja, wybuch, eksplozja, wypadek, kurczliwe trzymanie się przeszłości i tego co już minęło, niechęć do pójścia naprzód, bycie więźniem negatywnego myślenia, myśli samobójcze. Nie każdy dobrze znosi niespodziewanie duże i szybkie pieniądze, licznych pochlebców, alkohol, dostęp do różnorodnych używek, czasami pojawia się hazard, kasyna, skłonność do ryzykowania fortuny...

- Tak, kasyna! To jest wielki świat! Chciałabym mieszkać w Monako, a najlepiej w Monte Carlo... - Rozmarzyła się Bajla. - Owszem grałabym ale uważnie, przecież liczyć potrafię, wiem ile można zaryzykować, a ile nie, tylko birbanci szarżują ponad miarę, rujnują się i popełniają samobójstwa! Mnie coś podobnego zdarzyć się nie może!

- Wszystkim się tak wydaje, ale to złudzenie - niestrudzenie ostrzegął Serafin Maurycy Grzdyl. - Przy pewnych predyspozycjach łatwo stracić trzeźwy osąd i kompletnie się pograć! Niektórzy mają też skłonności do pakowania się w bezsensowne związki. A stąd już krótka drogą do tego żeby sobie strzelić w łeb, powiesić się albo dajmy na to włożyć głowę do piecyka i odkręcić gaz...

- Tarot sugeruje, że moje życie będzie ciekawe i z różnymi przygodami! Martwi mnie tylko ta Wieża na końcu...Ale to będzie na końcu, teraz nie warto zawracać sobie tym głowy! Prawda?

- Tarot to właściwie rodzaj psychoanalizy, każdy widzi to co chce i z tego może wywnioskować co jest dla niego ważne, mimo że wcześniej tego nie widział... - powiedział Serafin Maurycy Grzdyl starannie składając karty. - Teraz muszę już wracać do siebie ale jestem pewien, że kiedyś o pannie Bajli usłyszę, a nawet będę oglądał jakiś przebojowy film z jej udziałem.

Powodzenia!

Zwycięskie prace

rok 2022

Poezja

Rozważania ante mortem

I miejsce: Jan Radzięta

Czymże jest życie to piekielne
W którym to nic powstaje ze wszystkiego
A wszystko obraca się wniwecz?
W którym to ekstaza sprowadza się do udręki
A po prawdzie wszystko sprowadza się do jednego.
Prekursorzy ustępują miejsca swoim następcom
Śmiech ustępuje lękowi
I wszystko przestaje mieć znaczenie.
Ziemski padół do tej pory wiele widział świec
Niewiele z nich grzeszy jednak
Jasny światłem
Przypominającym promienie zachodzącego słońca
W oparach lepszych dni.
Całun horyzontu kończy się powoli;
Powoli i sukcesywnie
Pod ciężarem mordęgi egzystencji,
Która sama w sobie nieuleczalną jest trucizną.
Cierpkość otacza każdy akt z
Osobna
Niebo barwi się na czerwono
Odkupienie nie nadchodzi
I tak na końcu wszechistnienie oddala się
W noc.

Pomimo

Wyróżnienie: Dominika Świączny

Włóczę się, wyzwalając
pomiędzy dwiema
kurtynami człowieczeństwa.
Wiatr przekomarza się
ze mną i z nieugiętą wolą,
której korzenie
konsekwentnie
stawiają opór trikom.
Raptownie wyciągam
swoje ręce na boki,
oczekując na uchwycenie
czujnych drobinek godności.

Zatrzymać się by iść

Wyróżnienie: Ewa Mleko

w pociągach pełnych po brzegi
biegnie po szynach rutyna
zbyt wolno sunie by gonić
zbyt szybko by ją zatrzymać

w tłocznych tramwajach zduszone
myśli ze skrzydeł obdarte
rodzą się nowe co chwila
zapamiętania niewarte

na strychach albo w kominach
w piwnicach skrzętnie schowane
kurzą się tam na wieszakach
sny strachem wyprasowane

płaszczem pozorów spowite
niemo wzywają pomocy
bez nich są noce spłowiałe
a dni ciemniejsze od nocy

tkwią dawne plany na półkach
marzenia skryte w szufladach
gdy bezszelestnie po kątach
nadzieja musi się skradać

z przyciasnych kajdan przymusu
wyrwać się z bezsprzecznych racji
spod warstwy mdłej codzienności
wyrwać się – wysiąść na stacji...

Zwycięskie prace

rok 2022

Proza

Wieczne odpoczywanie

I miejsce: Edyta Poznańska

„Koniec śniegu” — wiadomość na ekranie, choć za oknem sypało.

Biały bałwan z śmiesznie przekrzywionym nosem i porwanym szalikiem w szarobure linie stoi wpatrzony w opustoszałą przestrzeń. Toczy martwym wzrokiem po zimnym kozuchu. Biel wypełnia zatłoczony od dwuśladów parking, wdrapując się leniwie po samotnych ławkach przy osiedlowym placu zabaw.

Dawno wygasłe iskry spojrzeń przeskakują między nami, gdy śnieg przysypuje ziejące pustką czarne węgle: niby-oczy o powiększonych źrenicach.

Odwracam wzrok, a dźwięk w słuchawkach uderza raz po raz.

— Tak? — pytam bez sensu.

Po drugiej stronie panuje cisza. Pomiedzy nami wybrzmiewa tylko jednostajny sygnał na linii, jak gdyby gdzieś w eterze zatrzymano akcję serca.

Oddzwaniam.

— Halo, wnusiu? — Słyszę głos babci. — Mam do ciebie sprawę! Słuchaj no... — zaczyna, ale myślami jestem już gdzie indziej.

Wchodzę po widmowych schodach, ciągnących się aż do chmur. Gdy zbliżam się do szczytu, dostrzegam wąskie lustro. Do jego ramy ktoś przykleił stare zdjęcia.

Naraz puchate obłoki zmieniają się w czerwoną płataninę gadzich ciał, a z nieba, kropla za kroplą, spływa deszcz siarki.

Wzdrygam się. Mój wewnętrzny głos rozszczepia się, tworząc nieznośny gwar zwielokrotnionych ech — głowa zaraz mi eksploduje. Nie mam siły na więcej.

— Babciu — przerywam, chwytając się za nasadę nosa — muszę kończyć. Za moment idę na wydział — kłamię. Mruczę krótkie „na razie” i rozłączam się z poczuciem winy.

Wysuwam słuchawki z obolałych uszu, a kabel zaplątuje się w kosmyk nierówno przyciętych włosów. Słabym szarpnięciem wyswobadzam go z czarnego łącznika.

Telefon uderza głucho o podłogę, objając się o ceramiczne kubki. Większość jest w ukochane koty, zabawnie podrzucające włóczkę albo wylegujące się na miękkim kocyku.

Reszta... reszta chyba nic nie znaczy.

Na lewo potoczył się czarny, w wiecznie czerwone róże, rozlewając na swojej drodze krople wczorajszej herbaty o podłym, owocowym smaku. Tuż za rogiem ciemnego łóżka stoi kolejny, z niedopitą z rana kawą.

Schylam się leniwie i krzywię usta w grymasie: na szkiełku smartfona widnieje świeża rysa, bliźniaczo podobna do tych, które mam na rękach.

Siadam przy biurku. Na ekranie laptopa wciąż migoczą do mnie miliony pikseli, układające się w wiadomość o wynikach egzaminu. Loguję się do systemu. Odszukuję tabelę wyników: tego też nie zdałem.

Przyglądam się w zubożeniu szafce nocnej. To w niej chowam leki — niepozorne, białe okręgi o wielkiej mocy.

Ruszam się z krzesła, stąpając ciężko po panelach. Coraz częściej odczuwam zmęczenie, nawet chwilę po przebudzeniu.

Co zjadłem na śniadanie? Może jajecznicę albo płatki śniadaniowe o przerażających uśmiezkach? Nieistotne. Ostatnio niewiele mnie obchodzi.

Mijam szafkę; jeszcze przed momentem walczyłem ze sobą, by zażyć dzisiejszą dawkę. Przegrałem. Mimo to podchodzę do kalendarza, z którego popatrują na mnie daty przekreślone czerwonym flamastrem. W tym miesiącu znajduję ich zaledwie siedem.

Wzdycham i odchodzę do łazienki.

Mikroskopijnie mała przestrzeń potęguje hałas w mojej głowie. Biorę szybki prysznic, starając się nie patrzeć. Zapach szamponu drażni mnie w nos — męski skończył się wczoraj.

Owijam się ciasno ręcznikiem; wychodzę. Czarna tkanina podrażnia skórę przy klatce piersiowej, gdy ze złością szoruję wilgotną powierzchnię. Jej gładka struktura przypomina mi całun.

Przegrzebuję półki, starając się znaleźć coś w ciemnej gmatwaninie ubrań. Ostatecznie wyjmuję z niej moją ulubioną koszulę z lumpeksu. Na ciemnym tle widnieje logo zespołu The Cure i nadruk z płyty Disintegration.

Chwytam w dłonie pilot do wieży — prezent od taty, który dziadkowie kupili mu na szesnaste urodziny. Prawy głośnik słabo działa.

Puszczam „In Der Palästra” projektu Sopor Aeternus & The Ensemble of Shadows. Wsluchuję się w przejmujący głos, odnajdując w nim znajomy ból.

Staję nagi obok dawno niemytego lustra. Nadal znajduję na nim ślady po naklejkach i taśmie dwustronnej. Wspomnienie chmur i ramy pełnej zdjęć powraca.

Wyrzuciłem je ponad rok temu, choć matka błagała, żebym zostawił. Wiem, że w pochowanych na strychu kartonach i tak leżą mroczne pamiątki mojej egzystencji. Nie zaglądam do nich, za bardzo by bolało.

Zerkam w lustro — cień wydobywający się z barwionego szkła rzuca mi smutne, zawiedzione spojrzenie. Badam jego nierówne, wygolone po bokach włosy; przy skalpie pojawiają się brązowe odrosty, niszcząc efekt granatowej czerni. Twarz, niemal całkowicie pozbawiona przebarwień i wykwitów skórnych, traci na urodzie bez obowiązkowego zarostu, którego nigdy nie będzie mieć.

Omijam wzrokiem zarazem nagą prawdę, jak i najokrutniejsze z kłamstw.

Sopor Aeternus kolejny raz wyraża swój wewnętrzny sprzeciw, gdy ze składanki wydobywają się pierwsze akordy „A Strange Thing to Say”.

Po policzku spływa mi łza. Podążam do niej drżącymi palcami. Postać w lustrze bezbłędnie mnie naśladuje.

Moja najdroższa przyjaciółka i najgorszy wróg.

Biorę w dłonie binder i zakładam resztę.

— Haniu! — Przez drzwi wdziera się wołanie matki.

Czuję, że umieram.

Ostatni trik Michael'a O'Leary

II miejsce: Dorian Koćmaros

Wspomnienia to naprawdę ciekawa rzecz. Cienie minionych chwil zapisane w naszych umysłach, niezależnie czy tego chcemy, czy nie. Czasami są jak słodka nagroda dobrze przeżytego życia, a innym razem jak gorzka pigułka zawierająca ważną lekcję. Teraz, mając już siedemdziesiąt lat zauważam, że coraz częściej potrafię się w nich całkowicie zatracić. Może to kwestia wieku. Logicznie ma to nawet sens. Nasze ciała, z biegiem lat, przestają być tak sprawne jak kiedyś. Coraz mniej rzeczy jest dla nas nowych, a tym, które takie są brakuje ekscytacji. W końcu ile razy człowiek może patrzeć na świat z zachwytem małego dziecka. Kiedyś trzeba dorosnąć, prawda? Zapadamy się wtedy w siebie, a do gry wkraczają wspomnienia. Wracamy w przeszłość, aby chociaż przez jedną chwilę poczuć to, co kiedyś. Wspomnienia, jeśli wystarczająco silne, są integralną częścią nas samych i jedynie starcza demencja mogłaby nas ich pozbawić. Bo jak zapomnieć coś, co zmieniło twoje życie? Niemożliwe..., a przynajmniej tak mi się do tej pory wydawało. Kilka dni temu pewne wydarzenie spowodowało, że przypomniałem sobie człowieka, któremu zawdzięczam to, kim jestem. Zastanawiałem się, jakim cudem, przez przeszło czterdzieści lat, ani razu o nim nie pomyślałem. Swoimi rozterkami podzieliłem się ze znajomym lekarzem. Podsunął mi on ciekawą hipotezę. Podobno żołnierze wracający z pola bitwy lub osoby, które doświadczyły w życiu drastycznych wydarzeń, mogły cierpieć na zaniki pamięci. Te okropieństwa, traumy jak je nazwał, były prawdopodobnie tak bolesne dla umysłu, że ten postanawiał je usunąć, aby nie popaść w szaleństwo. Długo rozważałem jego słowa i rzeczywiście mogło tak być i w moim przypadku, gdyż koniec człowieka, którego uważałem za przyjaciela, był w istocie tragiczny. Michael O'Leary, bo o nim mowa, nie zasługiwał na to, co mu się przytrafiło. Nie uprzedzajmy jednak faktów.

Wychowałem się w rodzinie zegarmistrzów, więc naturalną kolejną rzeczą było abym ja również się tym zajął. Dzieciństwo i wczesną młodość spędziłem ucząc się fachu pod okiem ojca. Bardzo szybko stało się dla niego jasne, że posiadam do tego naturalny dryg. Patrząc na koła zębate i mechanizmy, rozwiązania problemów przychodziły mi do głowy

niemal natychmiast. Wolne chwile spędzałem rozkładając zegary na czynniki pierwsze lub pochłaniałem każdy możliwy skrawek fachowej literatury. Bez zbędnego przechwalania się mogę powiedzieć, że jako nastolatek przewyższyłem umiejętnościami mojego ojca. Mógłbym zapewne naprawiać zegary dalej, a po jakimś czasie przejąć rodzinny warsztat i dokonać żywota nie ruszając się nawet na milę od miejsca, w którym przyszedłem na świat. Na szczęście moi rodzice mieli dla mnie inne plany. Nie chcąc abym zmarnował talent, ojciec wysłał mnie do jednego ze swych przyjaciół, jako asystenta. Tym sposobem w wieku szesnastu lat znalazłem się w Londynie. Na początku XIX-go wieku, miasto to było miejscem wielce fascynującym i urzekło mnie niezmiernie.

Pan Wilhelm Smith, dla którego pracowałem, z początku był wobec mnie nieufny, jednak sumienność i pracowitość, z jaką wykonywałem każde powierzone mi zadanie szybko pozwoliła mi zdobyć jego sympatię. Dla niego naprawianie zegarów było jedynie częścią biznesu. Zaczynał oczywiście w tym fachu, jednak wraz z rozpowszechnianiem się elektryczności, coraz większa liczba zleceń pochodziła właśnie z tego segmentu. Z satysfakcją odkryłem, że mi również odpowiadała praca z technologicznymi nowinkami. Świeżość kontaktu z nowoczesnymi przedmiotami była dla mnie tak pasjonująca, że bardzo szybko uczyłem się zasad ich działania i sposobów naprawy. Klienci byli zadowoleni i wkrótce wyrobiłem sobie sporą renomę. To właśnie wtedy poznałem Michael'a O'Leary.

Pewnego dnia w warsztacie zjawił się mężczyzna w średnim wieku. Na początku nie zwróciłem na niego uwagi, jednak mój pracodawca, kiedy tylko go zobaczył, stał się bardzo nerwowy. Słyszając ich rozmowę miałem wrażenie, że delikatnie stara się pozbyć potencjalnego klienta, co wydało mi się nad wyraz dziwne. Kiedy gość opuścił warsztat od razu wypytałem o niego pana Smith'a. Ów człowiek nie cieszył się dobrą opinią wśród przedsiębiorców. Podobno zjawił się w mieście kilka lat wcześniej i szybko dorobił się niemałej fortuny. Tak szybko w zasadzie, że zrodziło to ogromną ilość plotek. Przewodnią wśród nich stała się ta, że za natychmiastowym bogactwem kryła się działalność przestępcza. Z tego względu pan O'Leary był niechętnie widziany przez ludzi interesu. Ludzie nauki również nie byli mu zbyt przychylni. Okazało się, że tajemniczy jegomość para się też sztukami iluzji, występując na scenie. Mimo, że jego spektakle cieszyły się ogromną popularnością, elity szybko okrzyknęły go „szarlatanem omamiającym tępą gawieź”. Po wysłuchaniu tego wszystkiego, postać tajemniczego człowieka zaczęła mnie ciekawić. Dowiedziałem się, że zostawił on plany jakiegoś urządzenia z prośbą o ocenę możliwego wykonania. Poprosiłem o możliwość zajęcia się tym

osobiście i pomimo początkowych sprzeciwów, uzyskałem zgodę. Natychmiast zamiast oceniać projekt zabrałem się do jego realizacji. Mechanizm nie był prosty, ja jednak byłem uparty. Kiedy kilka dni później Michael O'Leary wrócił, był zdumiony. Widząc gotowe urządzenie od razu zaproponował mi nowe zlecenia. Nawet, jeżeli mój pracodawca był przeciwko tej współpracy, kiedy usłyszał kwotę, jaką klient był w stanie zapłacić, szybko odsunął swoje przekonania na dalszy plan. Jak to mówią: „pieniądz nie śmierdzi”. Tak zaczęła się nasza znajomość. Michael cyklicznie wpadał do warsztatu z nowymi schematami, a ja przedstawiałem mu swoje postępy lub przekazywałem gotowe urządzenia. Wkrótce nasze kontakty rozwinęły się również poza strefę biznesową. Z niemałym zaskoczeniem odkryłem, że mój klient jest technicznym geniuszem, a rozmowa z nim była czystą przyjemnością. Często spotykaliśmy się w pubie lub w jego posiadłości, aby dyskutować na różne tematy. Zaczął mnie również zapraszać na swoje występy. Zawsze uważałem się raczej za osobę o umyśle badacza i z początku odmawiałem, jednak w końcu dałem się namówić. Spodziewałem się zobaczyć kilka trików polegających w dużej mierze na umiejętnym odwracaniu uwagi publiczności, jednak to, co zastałem wprawilo mnie w niemały zachwyty. Lewitujące przedmioty, ruchome obrazy i inne mechaniczne cuda, które wymykały się logicznemu rozumowaniu. Kiedy spotkaliśmy się po występie nie spodziewałem się jakichkolwiek wyjaśnień. On jednak zaczął z pasją opisywać mi każdy trik i sposób jego wykonania. Byłem zdumiony jego wylewnością, jednak szybko dotarło do mnie, dlaczego tak się zachowywał. Michael O'Leary był człowiekiem niezmiernie samotnym, a ja byłem pierwszą osobą, która poświęciła mu czas. Naprawdę się zaprzyjaźniliśmy.

Kolejne lata miały iście szaleńcze tempo. Dzięki kontaktom Michael'a miałem przyjemność poznać wielu ciekawych ludzi. Czasem byli ekscentryczni, czasem po prostu szaleni. Zawsze jednak inspirowali do tworzenia. Zacząłem wtedy opracowywać własne mechanizmy. Za namową mego przyjaciela otworzyłem własny warsztat, a dzięki jego stałym zleceniom i uzyskanym patentom pieniądze nie były żadnym problemem. Z perspektywy czasu widzę, że spędzałem z panem O'Leary każdą wolną chwilę. Nasza znajomość układała się znakomicie, ja jednak coraz częściej odnosiłem wrażenie, że coś przede mną ukrywa. Kiedy mu o tym mówiłem zbywał mnie lub szybko zmieniał temat. Nie ukrywam, czułem się urażony tym brakiem szczerości, jednak nie mogłem się długo gniewać i wszystko wracało do normy.

Moje życie było wtedy bardzo udane, jednak miałem poczucie lekkiej pustki. Czegoś mi brakowało. Wszystko zmieniło się pewnego dnia. Skupiony na pracy, nawet nie

zauważyłem, kiedy ktoś wszedł do warsztatu. Usłyszałem tylko ciche pytanie o naprawę zegarka. Wtedy nie parałem się już zegarmistrzostwem i w pierwszej chwili chciałem zbyć klienta. Kiedy jednak podniosłem głowę znad biurka, miałem wrażenie jakby raził mnie piorun. Przedemną stała najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem. Od słowa do słowa, udało mi się zaprosić ją na herbatę. Zakochałem się na zabój. Widywali się coraz częściej, a moje życie stało się w końcu piękne. Spędzanie czasu z Anną, bo tak miała na imię, miało jednak pewien negatywny skutek. Coraz mniej czasu poświęcałem pracy. Nie dostarczałem już Michael'owi urządzeń tak szybko, przez co zaczął się niecierpliwieć. Któraś z kolei kłótnia przelała czarę goryczy i przestaliśmy się widywać zupełnie. Nie przeszkadzało mi to. Anna była dla mnie wszystkim. Zrobiło się na tyle poważnie, że szybko zaczęliśmy planować ślub. Postanowiłem, że jednak powinienem zaprosić pana O'Leary, gdyż gdyby nie on moje życie byłoby zupełnie inne. Udałem się do niego osobiście. Znalazłem go w domu, kompletnie pijanego. Po dłuższej rozmowie wyznał mi w końcu swój największy sekret. Powiedział mi, że pochodzi z Bristolu, ale urodził się tam dopiero za trzysta lat. Michael O'Leary twierdził, że był podróżnikiem w czasie. Cała historia, jaką przedstawił była dość chaotyczna ze względu na upojenie alkoholowe, ale wyluskałem z niej kilka informacji. Był uczonym z XXIII-go wieku i jako pierwszy stworzył maszynę czasu. Pierwsza próba okazała się jednak również ostatnią za sprawą awarii. Tym sposobem utknął w przeszłości. Dzięki znajomości historii szybko zdobył pieniądze, jednak obecny stan technologii nie pozwolił mu na naprawę maszyny. Zapytany, czemu wybrał Londyn odpowiedział, że jego rodzina nigdy nie opuszczała Bristolu, a on wolałby uniknąć czegoś, co nazwał paradoksem czasowym. Mówił jeszcze wiele o zawiłościach podróży czasowych, ale średnio go rozumiałem. Oczywiście nie uwierzyłem mu, jednak po namowach pokazał mi zepsutą maszynę. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego i wydało mi się, że jest to coś rodem z innej planety. Rozmawialiśmy potem całą noc. Okazało się, że to przeze mnie był w tak podłym nastroju. Uważał, że jestem jedynym człowiekiem zdolnym pomóc mu naprawić maszynę i wrócić do przeszłości. To zaufanie sprawiło, że wiedziałem, iż muszę mu pomóc. Zaraz po moim ślubie, zabraliśmy się do pracy.

Po roku maszyna była gotowa. Michael zaproponował wtedy, że zorganizuje dla mnie i żony ostatni spektakl, jako spóźniony prezent ślubny. Finałem miało być użycie na scenie maszyny i powrót mego przyjaciela do swoich czasów. Aby nie marnować miejsca w teatrze zaprosiliśmy kilku znajomych i rodzinę. W dniu występu widać było, że pan O'Leary nie szczędził w środkach na swój wielki finał. Kiedy spektakl miał się ku końcowi na scenę

wprowadzono maszynę. Sam jej wygląd spowodował, że widzowie oniemieli. Michael wygłosił małą przemowę, w której podziękował mi za wszystko i oznajmił, że znika na zawsze. Wzbudziło to salwy śmiechu, jednak po uruchomieniu maszyny zapadła cisza. W szoku oglądaliśmy wirujące i zapalające się mechanizmy. Coś jednak poszło nie tak jak powinno. Machina generowała zbyt dużo iskiei i jedna z nich zaprószyła ogień, który szybko się rozprzestrzenił. Krzyczałem do Michael'a by uciekał, ale on nie słuchał. Musiałem dać za wygraną i wybiegłem wraz z żoną. Kiedy znaleźliśmy się poza budynkiem usłyszeliśmy przerażający krzyk. Próbowałem zajrzeć do środka i miałem nawet wrażenie, że widzę błysk białego światła. Ogień był jednak zbyt silny. Straż próbowała walczyć z żywiołem, ale bezskutecznie. Wszystko spłonęło, a ciała Michael'a O'Leary nigdy nie odnaleziono.

Przez jakiś czas po incydencie obwiniałem się o śmierć przyjaciela. Wydało mi się oczywiste, że był szaleńcem balansującym na granicy geniuszu, a ja jedynie podsyciałem jego obłąkanie, zamiast mu pomóc. Rzuciłem się wtedy w wir życia rodzinnego i pracy. Czas i umysł zrobiły swoje. Zapomniałem... aż do ostatniego tygodnia.

Do mojego warsztatu zawitał młodzieniec szukający pracy. Powiedział, że wyjechał z rodzinnej wsi w poszukiwaniu zarobku, ale jak do tej pory bezskutecznie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, jednak przedstawił się, jako James O'Leary. Coś mnie wtedy tchnęło. Przypomniałem sobie, że jeden z

partnerów biznesowych z Bristolu, szukał właśnie kogoś do pracy. Niewiele myśląc zatelefonowałem do niego, a młodemu człowiekowi wręczyłem adres i kilka funtów na bilet. Kiedy wyszedł przywołałem w pamięci twarz mego dawnego przyjaciela.

Wspomnienia potrafią być naprawdę cudowne.

Kamienna żaba

Wyróżnienie: Magdalena Gardias

Czekałem na nią stojąc na rogu skrzyżowania Modrzejowskiej z jakąś boczną uliczką, po której nieśmiało od czasu do czasu przejeżdżał samochód. Nawet nie wiem, czy nosiła jakąś nazwę. Od biedy mógłbym ją nazwać swoim imieniem i przejąć szturmem na własność.

Gdyby mi się to, rzecz jasna, opłacało.

Dziewczyna się spóźniała, a ja coraz bardziej uznawałem, że to wszystko bez sensu. Wpatrywałem się w kawiarnię obleganą od wieków i uznawaną za najstarszą, a tym samym zapewne najlepszą i przygotowywałem kilka scenariuszy tego spotkania. Robiłem tak niemal od tygodnia, zachowując się głupio, ale i tak nie mogłem się powstrzymać. Nawet nie bardzo wiedziałem, jak ta dziewczyna w zasadzie wyglądała. Owszem, kilka strategicznych zdjęć na Internecie informowało mnie, że jest raczej szczupła w taki nieprzesadny sposób i posiada jasne włosy, ale i to nie było wcale takie pewne, ponieważ całą wiedzę czerpałem z czarno-białych zdjęć. W każdym razie mogłem spodziewać się wszystkiego. Być może należało wmawiać sobie, że wygląd nie ma znaczenia, liczy się przede wszystkim wnętrze, ale dla mnie było to kłamstwo. Każdy ocenia człowieka poprzez całokształt, wrażenie, jakie w nas wywołuje. Ja zawsze najpierw patrzyłem w oczy – to w nich wydawało mi się, że ukrywa się esencja człowieka. Twarde dusze potrafią zastrzelić spojrzeniem, te delikatne utulić do snu.

Tak, do tego ewentualnego spotkania przekonały mnie takie trywialne uniesienia serca. Dziewczyna wydawała się normalna z rzeszy dziwności większej niż to możliwe (posiadałem w tej kwestii już pewne doświadczenie, wierzcie mi) i miała coś do powiedzenia na różne tematy. Jeśli się na czymś nie znała, informowała o tym wprost, a nie wymyślała, aby nadbudować swoje ego.

Imponowało mi to.

To wszystko sprawiło, że umówiłem się z nią na spotkanie twarzą w twarz, nie przedłużając już rozmów wirtualnych. Ale najwyraźniej wciąż panikowałem, skoro teraz stałem tu, w ukryciu, czekając na niespodziewane.

Znowu zerknąłem na zegarek. Czas szybko mijał, pięć minut temu powinna się tutaj pojawić.

„A jeśli robi dokładnie to, co ja?” – przeszło mi przez myśl. Byliśmy do siebie dość podobni, niepewni, dość wstydliwi. To mogło być prawdą. Rozejrzałem się, ale nikogo podejrzanego tak jak ja jakoś nie zauważyłem.

Jeszcze raz przejrzałem gości kawiarni, których łatwo było zobaczyć z mojego miejsca obserwacyjnego. Była tam grupka nieco głośnych studentów, para starszych ludzi popijająca herbatę z wielkich filiżanek, dwie dziewczyny pałaszujące spory kawałek tortu na spole oraz chłopak siedzący blisko nich, nie spuszcający wzroku ani z dziewczyn, ani z tego szybko znikającego ciastka. Jeszcze dwa stoliki pozostawały wolne. Dzisiaj nie było na tyle ciepło, aby usiąść na zewnątrz, ale jeśli ktoś szturmem je zajmie, będzie trzeba trochę zmarznąć. Ludzie wytrzymywali nawet nieprzychylnie zmiany pogodowe dla tutejszych ciastek.

Wreszcie zobaczyłem dziewczynę, która podejrzenie szybko zmierzała w stronę kawiarni, zwalniając jednak parę kroków przed nią i zbyt mocno rozglądając się na boki. Gdybym nawet nie posiadał jej zdjęcia wcześniej i tak byłbym pewien, że to ona. A trzeba było przyznać, że wyglądała dokładnie jak obiecała – długie włosy najwyraźniej żyjące własnym życiem oraz te same spodnie.

Cóż... teraz albo nigdy.

Wyszedłem ze swojego ukrycia, podnosząc rękę, jakbym zgłaszał się na ochotnika na miejsce poszukiwanej przez nią osoby. Ona tymczasem szybko zlokalizowała mnie wzrokiem i uśmiechnęła się z ulgą – najwyraźniej przeszło jej już przez myśl, że nie przyszedłem lub odszedłem, zbulwersowany jej kilkuminutowym spóźnieniem. W końcu ona również zdążyła stwierdzić przez pokaźne witryny kawiarni, że w środku nie znajduje się nikt podobny do mnie, mimo że moje zdjęcia nie były aż tak dokładne jak jej.

– Ach, ty jesteś...

Machnąłem ręką i dokończyłem za nią:

– Tak, wiem, dokładnie taki, jak na zdjęciach.

Przekrzywiła głowę. Najwyraźniej nie to miała na myśli.

– A ludzie zwykle nie wyglądają podobnie, jak deklarują to na Internecie?

– Nawet nie masz pojęcia!

Weszliśmy do kawiarni. Podczas naszego krótkiego zapoznania po raz pierwszy na żywo, przedostatni stolik został zajęty, nie dając nam wyboru – musieliśmy usiąść w kącie z dala od okna, co powodowało, że w razie niezręcznej sytuacji nie będzie zbyt gdzie uciec wzrokiem. Nie, żebym się o to specjalnie martwił, ale lubiłem być przygotowany na każdą okoliczność.

Po małym zamieszaniu związanym z zamówieniem, zapadła między nami głęboka cisza, podczas której ja przyglądałem się dziewczynie, a ona mi, zanim nasze herbaty i ciastka nie przybyły, oddzielając nas od siebie niezbyt wysokim murem.

– Często tu bywasz? – zapytała, machinalnie biorąc kubek do ust, udając przy tym, że to był dobry pomysł i że herbata wcale nie jest aż taka gorąca, mimo że zaparowały jej od niej całe okulary.

Teraz przypominała mi Eskimosa.

Zawahałem się. Bywałem tu jedynie przy okazji poznawania nowych dziewczyn. Raczej wątpiłem, by typowy chłopak przychodził tutaj pogapić się na różowy krem na tortach, szczerze przyozdobiony złotymi koralikami.

– Raczej nie – wyważyłem odpowiedź, biorąc łyżeczkę do ręki i próbując zająć się swoim ciastkiem.

Dziewczyna zrobiła to samo. Najwyraźniej była to ta sytuacja, podczas której każdy rozpaczliwie próbuje zrobić coś z rękami, nie odnajdując właściwych słów do rozmowy.

Ale wkrótce udało nam się przejść do tematów, jakie poruszaliśmy jeszcze w wirtualnym świecie. Było coś o książkach, filmach, ulubionych kolorach i miejscach. W zasadzie pozostawaliśmy przy dość neutralnych kwestiach, typowych dla tego rodzaju sytuacjach, stopniowo przechodząc dalej.

– Czekaj, czy to prawdziwa woda? – Dziewczyna wskazała łyżeczką na miejsce za moimi plecami.

Nie musiałem się oglądać. Doskonale znałem tę ozdobę, składającą się z czegoś na kształt jaskini i niewielkiego kamiennego zbiornika wody, wypełnionego małymi figurkami roślin i zwierząt, do którego naprawdę lał się płyn. Nigdy nie wiedziałem, skąd ten pomysł, aby w środku kawiarni wstawiać takie rzeczy, ale mimo wszystko kiedyś ta część pomieszczenia była fragmentem ogródka, więc być może ten a la staw był pozostałością po tej historii.

Dziewczyna przekrzywiła głowę, jeszcze bardziej wyciągając głowę.

– Strasznie dużo tam tych kamiennych żabek...

– Tak – przyznałem z lekkim uśmiechem. – To w końcu ma być staw, nie?

Wróciła do pałaszowania swojego tortu, którego w zasadzie już kończyła. Ja ledwo zacząłem porcję stojącą przede mną, traktując ją raczej jako dywersję do wbicia w coś wzroku niż jako prawdziwy deser, który powinien zostać już dawno pochłonięty.

Rozmowa jakoś tak dziwnie przestała nam się kleić. Przeszliśmy już do następnego etapu, czyli spraw przyszłościowych, planów i oczekiwań. Tutaj dziewczyna wyraźnie się

peszyła, coraz częściej sięgając po kubek z herbatą, jakby chciała się nim zasłonić lub coś ukryć, mimo że bardzo szybko stał się pusty i ziało od niego brakiem zbawczego naparu. Wydawało mi się, że prowadzę przesłuchanie, jakbym wyłącznie ja chciał lepiej poznać osobę siedzącą po drugiej stronie stołu. Moje uwielbienie do tej dziewczyny wyraźnie słabło.

Gdy niezręczność najwyraźniej osiągnęła apogeum, dziewczyna odsunęła od siebie kubek oraz pusty talerzyk zdecydowanym ruchem.

– Powinnam już pójść – oznajmiła, wbijając we mnie swój mało przychylny wzrok, nie skrywający urazy.

Nie zapowiadało to kolejnego spotkania.

– Nie podoba ci się nasz wypad? – zapytałem, nie ruszając się z miejsca.

– Przykro mi – odpowiedziała, mimo że widziałem, że wcale nie jest jej przykro, wręcz przeciwnie, jakby poczuła ulgę z tego powodu. – Czasami tak bywa, że ciężko człowieka dopasować do kogoś innego. To chyba i nasz przypadek.

Skinąłem głową.

Gdy pojawiła się energiczna kelnerka, dziewczyny już nie było. Zgarnęła na tace pozostawione na stole puste talerze oraz niedojedzone ciastko, nawet nie pytając, czy wolno jej to zrobić i czy to oznacza, że wypiek nie smakował. Na końcu złapała w dwa palce małą kamienną żabkę, która leżała na krześle naprzeciwko chłopaka.

Zerknęła na niego spojrzeniem pełnym zdziwienia.

– Co, ta też nie?

Chłopak pokręcił głową. Siedział milcząco ze spuszczoną głową, z rękami głęboko schowanymi w kieszenie za dużych spodni i ewidentnie nie nadawał się do żadnej rozmowy.

Kelnerka wzruszyła ramionami. W sumie nie jej sprawa. Wrzuciła nowy okaz żabki do stada jej podobnych w prowizorycznym kawiarnianym stawie, po czym wróciła do kuchni, po drodze zgarniając zamówienia na nowe smakołyki.

Śmierciobus

Wyróżnienie: Patrycja Paliczka

Mike przekładał monetę między palcami, rozglądając się bacznie dookoła, zupełnie, jakby kogoś albo czegoś szukał. Najwyraźniej nie znalazł, bo po chwili całą swoją uwagę skupił na wędrującym cencie.

Z tego prostego powodu nie dostrzegł dwóch rosyłych drabów z ostatniej klasy, którzy szli w jego kierunku, podając sobie piłkę i manewrując między pieszymi wracającymi tego wyjątkowo skwarne dnia z pracy. Oni dostrzegli go z daleka; ucieszyli się, bo chłopiec od kilku lat był kozłem ofiarnym, wyszydzanym, wiecznie popychanym i wyzywany na terenie szkoły przez starszych kolegów. Wielu z nich czekało tylko na odpowiedni moment, by móc mu dokuczyć. Nauczyciele albo nie chcieli zwracać im uwagi i brać na siebie wynikających z tego powodu problemów albo nie dostrzegali tego, co się wokół nich dzieje, wiecznie zajęci własnymi sprawami i problemami.

Mike w końcu ich zobaczył; dał susa do najbliższej stacji metra, ale obawiał się, że było już zdecydowanie za późno, by ratować się jakąkolwiek ucieczką. Dwaj starsi chłopcy przestali udawać zainteresowanie czymkolwiek innym, niż swoją przyszłą ofiarą i rzucili się za nim biegiem, popychając przechodniów i zjeżdżając z umieszczonej nad schodami, wąskiej poręczy.

Mike zbiegł po schodach, wpadł na kobietę ciągnącą swój wypchany po brzegi wózek, niemal go przewracając, rozejrzał się czujnie w obie strony i pobiegł w prawo.

Kobieta odczekała chwilę, a gdy tylko zobaczyła dwóch wyrośniętych i spoconych chłopców z zaciętymi minami, natychmiast wskazała im kierunek ucieczki młodszego.

Nie zносиła okularników. W szkole powszechnej była przez jednego z nich dręczona. Do dzisiaj nie zapomniała upokorzenia, które stało się jej udziałem, więc gdy tylko dorosła, natychmiast zaczęła się mścić. Aktorskim gestem poprawiła wiszącą na jej szyi apaszkę; bezdomny, do tej pory bezmyślnie podpierający lewą ścianę, zerwał się na równe nogi i pognął na peron, by przebiec między torami, po których poruszały się pociągi. Musiał być na miejscu pierwszy i to za wszelką cenę.

Chwycił młodszego chłopca, kiedy przebiegał obok niego, w wolnej przestrzeni między dwoma niewielkimi blokami i bez słowa wepchnął go do pomalowanego na biało samochodu o przyciemnionych szybach. Przyłożona do ust i nosa chusteczka nasączona chloroformem załatwiła sprawę. Uniósł jego bezwładne ciało, by zdjąć z niego ubrania, dzięki którym można by było go rozpoznać i zamarł na chwilę, gdy w polu jego widzenia pojawili się dwaj starsi chłopcy. Jeden z nich nie wytrzymał napięcia – zwłaszcza w chwili, gdy dostrzegł w jego dłoni nóż i worek, w którym nieznajomy zamierzał umieścić to, co zostanie z nieprzytomnego chłopca, kiedy z nim skończy – i po lewej nogawce spłynęła strużka moczu.

Drugi tylko lekko dygotał, to przestępując z nogi na nogę, to machając nerwowo rękami.

Kiedy tylko byli w stanie ponownie się ruszyć, natychmiast uciekli.

Nieznajomy wyduł pogardliwie wargi i cicho prychnął. O współczesnej młodzieży można było powiedzieć bardzo wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że była odważna.

O, odwagi brakowało im na każdym kroku. Doskonale było to widać w powszechnej szkole.

Uczył w niej przez dziesięć lat, więc dobrze wiedział o czym mówi. Do wycinania numerów kolegom i nauczycielom – zwłaszcza tym drugim – byli pierwsi, ale do wykazania się wiedzą albo umiejętnościami, brakowało im odwagi.

Profesor Goldfrather wytrzymał tam dziesięć lat i zrezygnował. Nie miał zamiaru uczyć tego rodzaju ludzi, dla których nie liczy się nic poza pieniędzmi oraz znajomościami.

Zamiast tego wyremontował starego busa i razem z nieżyjącym już kolegą, założyli firmę, której głównym zadaniem było sprowadzanie dzieciaków na właściwą drogę, organizowanie im czasu wolnego, zachęcanie do udziału w zawodach, konkursach i projektach.

Po kilku miesiącach okazało się, że pokonały ich nie tyle podatki i inne urzędowe opłaty, co niezadowoleni rodzice, którym nie podobało się, że musieli dopłacać do de facto darmowych, domowych zajęć, dowozić dzieci na miejsce i odbierać je głównie w godzinach szczytu.

Choć większość atrakcji, wejść i zajęć odbywało się za darmo, to były i takie, za które należało co nieco dopłacić. Głównie chodziło o zajęcia z wybitnymi specjalistami, ściągany na tę okazję z różnych miejsc w mieście i na świecie, a także z zagranicy.

Rzucił to po półtora roku, nie mogąc sobie poradzić z żądaniami klientów i stale narastającą presją, która doprowadziła go prawie na skraj załamania psychicznego.

Jego kolega, z którym założył firmę, zmarł z powodu przewlekłej choroby, a profesor, po spłaceniu wszystkich, do tej pory nieuregulowanych długów – bo później okazało się, że jego dobry kolega kradł, zamiast płacić rachunki i podatki za nowo otwartą firmę – zastawił i stracił dom i wylądował na ulicy.

Kiedy wydawało mu się, że już niżej nie może upaść, pomocną dłoń wyciągnął do niego nieznajomy, który pojawił się któregoś jesiennego dnia, późnym wieczorem, w długim czarnym płaszczu i przeciwsłonecznych okularach, choć dawno już zrobiło się ciemno. Uchylił rąbka zżartego przez mole kapelusza, kilka razy postukał o bruk mosiężną laską i pogładziwszy kozią bródkę, sterczącą spod kartoflowatego nosa, zaproponował mu prosty układ. Jego głos przypominał odgłos maszyny do borowania zębów albo ostrych paznokci przesuwających się po tablicy do pisania, lub szybie. Był tak bardzo nieprzyjemny, że przy pierwszych, wypowiedzianych przez nieznajomego słowach, profesor miał ciarki na całym ciele. Mimo to uważnie go wysłuchał, a gdy przyszło co do czego, bez słowa podpisał umowę, która w zamian za wykonywanie usług wedle własnych preferencji obiecywała mu życie wieczne.

Profesor rozebrał chłopca, zbadał dokładnie każdą część jego drobnego ciała, włożył gumowe rękawice, jakie gospodynie gumowe zakładały, by umyć toaletę, albo pozmywać naczynia i zabierał się do pracy.

Najpierw rysował wyciągniętym z kieszeni mazakiem ślady na jego młodym ciele, odmierzał długości wyciągniętą z pudełka miarą, sprawdzał stan uzębienia, ostrość widzenia oraz dobry węch. Drożne kanały nosowe najbardziej go interesowały; kiedy stwierdzał, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, wsuwał mu do nosa dwie długie przezroczyste rurki, które leżały poskręcane obok niego na podłodze, wijąc się i kręcąc w stronę stojącego z tyłu wozu urządzenia. Wyglądem przypominało trochę połączenie sejfu z pralką i lodówką z mnóstwem kolorowych pokręteł i przycisków. Posiadało również otwieraną na korbkę klapkę.

Ciało chłopca wygięło się w łuk, kiedy do jego nosa zaczęła dostawać się jasnoróżowa para. Przez chwilę jego ciało zastygło, a potem dostało niekontrolowanych drgawek, podczas trwania których zielony płyn, niczym gęsta flegma, zaczął wydobywać się z jego uszu, oczu i ust. Z krocza wypłynęła mlecznobiała wydzielina, która oznaczała, że proces zbliża się powoli ku końcowi. Gdy wszystko ustało, ciało Mike'a sflaczało, niczym przekłuty balon, z którego bardzo szybko ulotniło się całe powietrze i pozostała tylko miękka pomarszczona powłoka. Ludzka masa przypominała wyglądem wystygły budyń. Odczucie,

gdy przypadkowo dotknęło się jej palcami przypominało dotykanie masy solnej albo plasteliny.

Urządzenie zamieniło wszystkie światelka na fioletowe, co oznaczało, że jego praca tego dnia dobiegła końca. Profesor pokroił pozostałe elementy na znacznie mniejsze, żeby dały radę zmieścić się do worka, włożył je do środka i wyrzuciła na pobliski śmietnik jako organiczne elementy pozostałe po spożyciu pożywienia, gotowe do utylizacji.

Usiadł za kierownicą, wytarł spocone ręce o jasne spodnie i wyjechał z zaułka na wstecznym biegu, choć zgodnie z prawami fizyki nie dałby rady się w tak małej szczelinie zmieścić.

Była to jeszcze jedna zagadka jego Śmierciobusa; umiał się wcisnąć w miejsca tak wąskie, w które nie mieścił się nikt inny, a po ich przebyciu wrócić do swojego naturalnego wyglądu i kształtu.

Ciała Mike'a nigdy nie znaleziono, choć szukała go policja śledcza i zaangażowali się w to wolontariusze z wielu pobliskich miast.

Dwaj dryblasi nigdy nie powiedzieli nikomu o tym, co tamtego dnia zobaczyli. Tajemnicę zachowali dla siebie, bojąc się, że dorośli i tak by im nie uwierzyli.

Na przełomie następnych dwudziestu pięciu lat zginęło w ten sam sposób jeszcze pięćdziesięciu różnych chłopców. W tym dzieci dwóch dryblasów oraz ich bliskich.

A potem wszystko ustało na kolejne dziesięć lat.

Po tym czasie wszystko rozpoczęło się na nowo, a liczba zaginionych powiększała się wręcz lawinowo.

Kto tylko mógł, opuszczał miasto. Kto nie miał takiego zamiaru albo możliwości, pilnował dzieci tak dokładnie, jak tylko mógł, a i tak dochodziło do wielu przykrych niespodzianek.

Zaczęli także ginąć inni obywatele miasta. Dorośli.

Nikt nie wiedział, według jakiego się to dzieje klucza. Co było powodem, a co następstwem tego czynu.

Skończyło się to dopiero w momencie, gdy większość kadry i wychowanków pewnej szkoły powszechnej pożegnało się ze swym życiem.

Wtedy nie zginął nikt więcej.

A ludzie powoli zaczęli wracać do tego miasta, które zostało już przez co po niektórych uznane za przekłete. Albo chociaż za siedlisko prawdziwego Lucyfera...

Zwycięskie prace

rok 2022

Poezja

* * *

I miejsce: Marzena Hajdecka

powłóczący ogonem pociąg
zostawia za sobą
smugę gwiazdnego pyłu
pośród nocnych torowisk

światło załamanych od pędu oczu
wrzyna się cicho
w czarne tło

miarowy stukot
kopyt mojego pociągu
pcha mnie w objęcia snu
unosi na grzbiecie
zmartwione wspomnienia

Zwycięskie prace

rok 2022

Proza

Skrobot

I miejsce: Piotr Karendą

Praca posuwała się powoli. Przepisywanie cudzych słów nie należało ani do najprzyjemniejszych, ani też do najbardziej pasjonujących zadań. Kilkanaście sekund odsłuchiwania, potem próba odwzorowania tego, co mówiący miał na myśli, przewijanie nagrania do tyłu, by upewnić się, czy głos zagłuszony przez przejeżdżający samochód opowiadał o „artykulacji”, „prywatyzacji” czy też „specjalizacji”, co wcale nie musi być takie oczywiste, nawet po kilkukrotnym przesłuchaniu problematycznego fragmentu. Później wystarczy tylko sprawdzić, czy doktor „Czabaujew” to Chabałujev, Tschabaujev czy może Szabałujew i czy przypadkiem ma jakiś związek z dziedziną wiedzy, o której opowiada udzielający wywiadu.

Zazwyczaj nie zaprzęgam sobie głowy imieniem, nazwiskiem ani nawet tytułem mówiącego. To po prostu głos bądź w najlepszym razie bezosobowe inicjały. Nie powiem, czasem bywa nawet zabawnie, gdy szanowany profesor przez chwilę zapomni, że jest nagrywany i powie coś, czego publicznie raczej mu nie wypada, jednak takie rzeczy zdarzają się rzadko.

Przez większość czasu jest to po prostu nudna, monotonna i czasem frustrująca praca. Zwłaszcza gdy plik dźwiękowy jest kiepskiej jakości, a tekst ma być oddany na jutro rano, tak, jak w tym przypadku.

Zniechęcony postanowiłem pozwolić sobie na przerwę. Za oknami zrobiła się już szarówka. Pierwsze latarnie jeszcze się nie zapaliły, więc nie widziałem wiele – jedynie majaczący w oddali, postrzępiony przez mgłę zarys miejskiego parku oraz sąsiedni blok, który od kilku dni wyglądał na zupełnie wymarły. Niezbyt pokrzepiający widok.

Choć może nawet lepiej, że było ciemno. O tej porze roku za dnia wcale nie było ciekawiej. Szara ulica, po której przemykają równie szarzy i mało interesujący przechodnie, bezlistne kikuty drzew, cały brud ulic odkryty przez topniejący śnieg oraz nieprzerwanie padająca lepka mżawka.

Wieczorami przynajmniej nie widać tej całej beznadziejności przedwiośnia.

Dźwięk przejeżdżającej na sygnale karetki wyrwał mnie z zamyślenia. Jeszcze przez chwilę wsłuchiwałem się w sygnał zbliżającej się syreny aż do momentu, gdy całkowicie znalazła się poza zasięgiem mojego słuchu. Spojrzałem na ścienny, plastikowy zegar, który kiedyś kupiłem na targu za kilka złotych. Było przed szóstą. Patrząc na ilość nagrania, które jeszcze mi zostało, wyglądało na to, że nie skończę tego do późnej nocy.

Nie szkodzi. I tak ostatnio nie najlepiej spałem.

Zniechęcony zabrałem się za pisanie. Szło mi wyjątkowo topornie. Słowa plątały się i gubiły, a sens zdania można było odgadnąć tylko dzięki intuicji. Miałem już serdecznie dość hemoglobiny, kardiologii i zastawek, na szczęście zostało mi ostatnie pięć minut nagrania.

Końcowe fragmenty zawsze są dla mnie najtrudniejsze. Świadomość, że za chwilę moje męki się skończą i towarzysząca jej radość z tym związana utrudniały mi koncentrację.

Postanowiłem oderwać na chwilę zmęczone oczy od komputera i rozprostować trochę kości. W mieszkaniu panowała cisza. Wszędzie też, oprócz pokoju, w którym pracowałem, zapadły egipskie ciemności.

Słyszałem swój oddech. Spokojny, miarowy, ale też wskazujący na to, że byłem wykończony. Potarłem oczy, zaraz jednak gorzko tego pożałowałem, gdyż po tym zabiegu zaczęły wściekle piec.

Zły na siebie poszedłem do łazienki przemyć je wodą. Po kilku godzinach pisania warto było też umyć spocone dłonie.

Zimna woda podziałała kojąco. Nieco też mnie orzeźwiła. Zacząłem rozważać, czy nie wstać wcześniej i dokończyć transkrypcję jutro, lecz pomimo zmęczenia zmusiłem się, by znów zasiąść przed komputerem. Ostatnimi czasy pójście do łóżka kończyło się dla mnie dość nieprzyjemnie.

Zacząłem pisać. Gdy wreszcie głos naczelnego podziękował za udzielenie wywiadu, mieszanina ulgi i satysfakcji rozlała się po moim ciele. Kilkakrotnie zapisałem tekst w komputerze i wyłączyłem go. Oby na jak najdłużej.

Wiedziałem, że należę do przedstawicieli ginącego zawodu i wkrótce zostanę zastąpiony przez coraz doskonalsze programy komputerowe do zamieniania mowy na tekst. Trudno było jednak powiedzieć, abym w tym momencie specjalnie się tym przejmował, nawet jeżeli wiązać się to będzie z koniecznością poszukania nowego zajęcia. Chwilowo marzyłem wyłącznie o odpoczynku. Miękką poduszką i chłodną pościel – po krótkim wahaniu uznałem, że tego właśnie najbardziej było mi trzeba.

Ułożony wygodnie miałem zamiar jeszcze chwilę poczytać, ale już pierwsze zdanie uświadomiło mi, że nie ma to większego sensu. Odłożyłem książkę i zgasilem światło.

Ciekawe czy dziś w nocy też mnie odwiedzi?

Odpywając coraz mocniej, starałem się nasłuchiwać, lecz wyjątkowo całe mieszkanie pozostawało ciche, nie było słycać najmniejszego szmeru. Zacząłem nawet mieć nadzieję. Może dziś da mi spokój? Może już znudził się jedną ofiarą i znajdzie sobie inne zajęcie? Może opierałem się tak długo, że dał za wygraną? A może jednak znów przyjdzie? Pograżony w rozważaniach zapadłem w końcu w płytką, niespokojną drzemkę.

Zaczęło się jak zwykle delikatnie. Pojedynczy odgłos budzący mnie ze snu. Subtelne skrobanie o futrynę drzwi strzegących wejścia do mojego pokoju. Jak co noc próbowałem to zignorować i nie dawać znaku, że słyszę co się dzieje.

To jednak nie zniechęciło mojego gościa. Z minuty na minutę dziwne odgłosy nasilały się, wwiercały w świadomość tak, bym po kilku chwilach miał wrażenie, że poza tym hałasem nie istnieje już nic innego.

Kiedy naiwnie myślałem, że przyzwyczailem się do uporczywego dźwięku, on zwiększył natężenie i częstotliwość stukotów, doprowadzając mnie na skraj szaleństwa. Gdy wreszcie zaczęło wydawać mi się, że gorzej już być nie może, moje wątpliwości zostały brutalnie rozwiane. Z gardła przybysza wydobył się przeciągły i ostry jak brzytwa jazgot. Odniosłem wrażenie, że moje uszy krwawią.

Głos tymczasem przybrał tylko na sile. Nie były to konkretne słowa, ale rozumiałem, że mówił „Wpuść mnie, wpuść mnie, wpuść mnie!”. I tak bez końca.

Poczułem, jak na moim czole pojawiają się kropelki potu. On chyba też to wyczuł.

Choć wydawało się to niewykonalne, szelesty stawały się coraz głośniejsze. Dziwiłem się, że żaden z sąsiadów nie słyszał tego, co działo się w moim mieszkaniu. A może nie chcieli słyszeć?

Bo osobiście oddałbym chyba wszystko, by pozbyć się tych podszeptów, poświstywań, stęknięć i szumów oraz tego niewyartykułowanego głosu domagającego się wpuszczenia do środka.

W końcu to wszystko stało się już nie do zniesienia. Wstałem z łóżka i na trzęsących się nogach, podszedłem do drzwi. Przez ich przeszkloną część widziałem ciemność rozlewającą się po korytarzu wiodącym do przedpokoju. Wyglądało na to, że poza mną nie było nikogo.

Ale był tam. Czulem go. I on także poczuł, że stoję tuż przy nim. Oddzielała nas tylko grubość dykty, z której zostały zrobione.

Zebrałem się w sobie i kazałem mu iść do diabła, ale to go tylko rozsierdziło. Szmerzy stały się jeszcze bardziej uporczywe. Tym razem w niewielkiej przestrzeni mojego pokoju rozległo się pojedyncze, ostre drapanie bezpośrednio w drzwi. Stałem tak przez kilka sekund, które wydawały się być wiecznością, wahając się. Ale obaj już wiedzieliśmy, że przegrałem. To było silniejsze ode mnie. Było mi już wszystko jedno, byle tylko uwolnić się od tego hałasu. Moja roztrzęsiona ręka wylądowała na chłodnej stalowej klamce. Przez chwilę tam pozostała, jednak ponaglący dźwięk wydobywający się z jego gardła, kazał mi ją wreszcie nacisnąć. Choć bardzo tego nie chciałem, zrobiłem to.

Zamknąłem oczy i poczułem jak naciśnięta klamka powoli przesuwa się w dół. W końcu stało się. Drzwi uchyliły się leciutko, a wraz z nimi do pokoju wpadł mrok z korytarza. Poczułem, jak coś miękkiego i puszystego owinęło mi się wokół nogi, po czym szybko i bez ostrzeżenia naprężyło się i skoczyło na łóżko.

- Ty mały terrorysto – zrezygnowany pokiwałem głową.

Nie miałem innego wyjścia. Musiałem wpuścić tego cholernego kota do środka inaczej nie dałby mi spać przez kolejną noc. Trudno, wytrzymam z nim jeszcze kilka dni, a potem Baśka go odbierze.

Mówię wam, nigdy nie zgadzajcie się przechować na parę dni zwierzaka sąsiadki, nawet takiej, która wyjątkowo wam się podoba. Taki akt altruizmu zamieni wasze życie w koszmar.

Wojna

Wyróżnie: Dorian Koćmaros

W swojej sześćdziesięcioletniej karierze marynarza Mortimer Cook widział już wiele, a właśnie na widzeniu polegał jego fach. Stary Mort, jak nazywała go większość załogi, był zdania, że najważniejsze w życiu na morzu to umieć patrzeć. „Ocean jest jak organizm” – mawiał często do młodych. – „Każdy narząd połączony jest ze wszystkimi innymi. Każdy ma znaczenie i jeżeli z jednym coś się dzieje to możesz być pewny, że wkrótce całość strawi choroba”.

Tego dnia niebo było czyste, tafla wody spokojna, a silniki statku utrzymywały stałą prędkość, dzięki czemu pochłaniali kolejne mile. Siedząc w sterówce kapitan Cook odsłuchiwał porannych raportów. Wszystko chodziło jak w zegarku, jednak nie mógł pozbyć się dziwnego przeczucia, że coś mu umyka. Po namyśle wezwał do siebie pierwszego oficera i oddał mu stery, po czym wyszedł na pokład. Prawie natychmiast po opuszczeniu pomieszczenia w ustach kapitana znalazła się fajka. Tytoń był jednym z dwóch nałogów, na jakie pozwalał sobie kapitan. Podejrzewał, że dym nie jest dla niego najlepszy gdyż dokuczał mu nawracający suchy kaszel. Palenie jednak uspokajało go i dawało pewną klarowność umysłu. Widział już, co z ludźmi potrafią robić inne używki i z dwojga złego wolał już kaszleć.

Powoli przechadzał się w stronę dziobu. Załoga krzątała się po pokładzie wykonując swoje zadania. Jak zwykle nie zauważył nikogo z pasażerów. Wprawdzie nie było ich tak wielu, jednak od początku wyprawy, a były to już prawie trzy tygodnie, żaden z nich nie pojawił się na pokładzie za dnia. Był świadomy tego, że nieliczni wymykają się nocą, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Szybko jednak wracali do swoich kajut tak, jakby chcieli się przed czymś ukryć. Kapitan otrzymał zapłatę, więc nie miał powodu żeby pytać. „Każdy ma prawo do własnych tajemnic” – myślał.

Stary Mort obserwował wodę i im dłużej patrzył tym bardziej coś mu przeszkadzało. Całkowicie brakowało mew łasych na wyrzucane za burtę resztki z kuchni, a które towarzyszyły im niemalże od początku wyprawy. Również ciekawskie do tej pory stada delfinów zniknęły.

Kapitan doszedł do dziobu statku i ze zdziwieniem odkrył, że się pomylił. Jeden z pasażerów stał oparty o barierki i odwrócony w stronę horyzontu. Cook nie widział jego twarzy jednak był pod sporym wrażeniem. Mężczyzna musiał mieć około dwóch metrów wzrostu, a szerokie barki i szara peleryna sprawiały, że przypominał raczej kamienną rzeźbę niż osobę. Gdyby nie głowa pokryta długimi blond włosami, rzeczywiście można by wziąć go za posąg.

- A już myślałem, że nigdy nie zobaczę nikogo z was na pokładzie. – rzucił kapitan.

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Stał dalej wpatrzony w horyzont i wyglądało to tak jakby nie usłyszał wypowiedzianych do niego słów. Obaj trwali przez chwilę w milczeniu. Wreszcie Stary Mort pyknął fajkę, odwrócił się i już miał odejść, kiedy usłyszał: - Idzie burza.

Kapitan nic nie odpowiedział i jedynie obserwował mężczyznę, który odwrócił się.

- Idzie burza. Burza tak wielka, że fale złamią twój statek tak jak rozłupuje się orzech, a wszyscy na pokładzie skończą na dnie oceanu, łącznie z tobą. – Powiedział obcy. Miał twardy północny akcent. Wypowiadał się powoli, co paradoksalnie wzmogło tylko wydzwięk jego słów. Bładoniebieskie oczy wpatrywały się w kapitana, a wyraz twarzy mówił wyraźnie, że nie żartuje. – Masz jeszcze trochę czasu, ale musisz działać teraz. – dodał.

Stary Mort nie zastanawiał się wcale. Jakaś cząstka jego umysłu nakazała mu posłuchać obcego. Pobiegł ile sił w stronę sterówki. Zdyszany wpadł do środka i przepychając ludzi podbiegł do biurka, rozwinął mapę i zaczął szukać. Co jakiś czas zerkał na przyrządy pokładowe. W końcu znalazł odpowiednie miejsce.

- Lewo na burt, pełna moc silników! – ryknął z całych sił. – Cała załoga do roboty! Wszyscy palacze do kotłowni, dorzucać węgiel do odwołania! Reszta zabezpieczyć ładunek! Teraz!

Załoganci byli w lekkim szoku, jednak znali dobrze Starego Morta i wiedzieli, że musiało zdarzyć się coś poważnego. Nikt nie zadawał zbędnych pytań.

Płynęli całą naprzód i z początku wydawało się, że nic się nie dzieje. Jednak już po kilku minutach na horyzoncie za nimi zaczęły zbierać się czarne chmury. Sztorm był tuż za nimi. Kapitan wypatrywał celu. W końcu zobaczył to, co znalazł na mapach. Zbliżali się do archipelagu małych kamiennych wysepek, z czego największa z nich posiadała częściowo osłoniętą zatoczkę. Ledwo zdążyli wpłynąć do niej i rzucić kotwicę, kiedy sztorm uderzył z całą mocą. Na razie byli bezpieczni.

Kapitan zszedł pod pokład, a załozce pozwolił się rozejść jednak nakazał im pełną gotowość awaryjną. Nie pozostawało im nic innego jak czekać. Przechadzając się głównym korytarzem zaglądał do kajut. Patrząc na twarze pasażerów widział jedynie przeogromny strach. Na starym kontynencie szalała wojna i być może huk fal i gromów przypominał im koszmary, jakich byli świadkami. Uchodźcy ci, jak zapewne wszyscy im podobni w historii świata, uciekali do lepszego świata w nadziei, że uda im się zapomnieć to, co widzieli i zacząć wszystko od nowa. Niestety mieli się wkrótce przekonać, że wspomnienia tak nie działają, a jednym z bagaży, które podarowała im bezsensowna przemoc wojny, był lęk, który mieli nosić w sercu do końca swoich dni. Kiedy tak szedł, oglądając twarze ludzi i słuchając szlochów tłumionych gniewem oceanu, stary kapitan współczuł im niezmiernie, jednak odczuwał też swoistą ulgę. Tę, którą czujemy, kiedy coś bardzo złego przytrafia się komuś obcemu, a nie nam. Tę, której się wstydzimy, zwłaszcza przed sobą samym.

W pomieszczeniu jadalni nie zastał wielu osób. Przy jednym ze stołów siedziało kilkoro załogantów. Kapitan od razu dostrzegł stojącą między nimi butelkę. Sam nigdy nie pił jednak nie zakazywał tego innym. Życie marynarza nie jest łatwe, a odbieranie komuś tej odrobiny przyjemności, jaką chciał sobie zafundować nie przysporzyłoby mu sympatii. Załoga znała zdanie Starego Morta na temat alkoholu, dlatego wszyscy zgodnie starali się nie podpadać mu po wypiciu i nie upijać się w sztok. Tym sposobem wszyscy byli zadowoleni.

Kapitan zauważył w rogu pomieszczenia znajomą twarz. Mężczyzna w szarej pelerynie siedział z głową opartą o ścianę i zamkniętymi oczami. Wydawać by się mogło, że sztorm nie robi na nim żadnego wrażenia. Kapitan przysiadł się do niego. Człowiek powoli otworzył oczy i obaj wpatrywali się w siebie bez słowa. Po dłuższych oględzinach Cook stwierdził, że nie potrafi dokładnie określić jego wieku. Skóra wydawała się młoda, a włosy były gładkie i błyszczące jak u dziecka, jednak kilkudniowy zarost i zmarszczki wokół oczu nadawały mu powagi. Spojrzenie obcego sprawiało natomiast, że kapitan czuł się nieswojo, jak gdyby nie patrzył na niego tylko w niego. Jakby widział jego duszę.

- Nie mieliśmy jeszcze przyjemności. Nazywam się Mortimer Cook i jak zapewne wiesz jestem kapitanem tego statku. – zaczął. – Jeżeli nie masz nic przeciwko chciałbym zadać ci kilka pytań.

Mężczyzna przez dłuższą chwilę milczał. Dalej patrzył tylko tym swoim dziwnym wzrokiem.

- Jestem Hundur Gudson i tak, mam coś przeciw. Dlaczego miałbym ci cokolwiek mówić? Czy nie zapłaciłem ci wystarczająco, aby być pasażerem na tym statku?

- Naturalnie, że zapłaciłeś. W innym wypadku nie wpuściłbym cię tu. Jestem po prostu ciekaw kilku rzeczy. Oczywiście, jeżeli nie chcesz nie mogę cię do niczego zmusić, jednak radzę to przemyśleć. Możesz na tym zyskać. – powiedział kapitan z szelmowskim uśmiechem. - Widzisz Hundur, w moim życiu mam dwa wielkie nałogi. Pierwszym z nich jest tytoń. Myślę, że wypaliłem w życiu więcej niż ktokolwiek inny. – powiedział i rzucił na stół talię kart. – Drugim nałogiem są karty. Uwielbiam grać. W życiu zgrałem tysiące talii. Każda gra, każde warunki. Tu właśnie mam dla ciebie ofertę. Zagraj ze mną. Jeśli ty wygrasz to oddam ci twoje pieniądze. Jeśli ja wygram to ty odpowiesz na moje pytania, zgoda? – zapytał i wyciągnął do mężczyzny rękę. Człowiek w pelerynie zastanawiał się. W końcu uśmiechnął się lekko i ucisnął dłoń.

- Zgoda. Mam jednak dwa warunki. Po pierwsze, to ja wybieram grę. Po drugie, nie chcę pieniędzy. Ja też chce się kilku rzeczy dowiedzieć, więc będziemy grać o pytania.

Mort zaczął powoli tasować karty i zapytał tylko: - W co gramy?

Na twarzy mężczyzny pojawił się dość paskudny uśmiech. – W wojnę. – rzucił.

Obaj gracze uzgodnili alternatywne zasady. Każdy z nich dostawał po połowie talii, a karty wygrane w poszczególnych bataliach były odkładane na bok. Kiedy obaj użyli ostatniej karty wygrane miały być policzone i zwyciężał ten, który miał ich więcej. To nadawało rozgrywce tempa.

Pierwszym zwycięzcą był Hundur. - Moje pytanie brzmi: kim jesteś?

- Nazywam się Mortimer Cook. Od ponad sześćdziesięciu lat jestem marynarzem, z czego większość kapitanem. W wieku trzynastu lat uciekłem z domu i zaciągnąłem się na statek. Od tego czasu pływałem pod różnymi banderami, aż w końcu udało mi się odłożyć wystarczającą kwotę na własny statek. Wystarczy? – zapytał, a mężczyzna odparł mu skinieniem głowy.

Drugą partię również wygrał Hundur. - Czego się boisz? To moje następne pytanie.

Kapitan zawahał się. Miał jednak swój honor i odpowiedział: - Boję się, że stanę się taki jak mój ojciec. Moje jedyne wspomnienia z nim związane to ciągle pijackie awantury. Dlatego odeszła od niego moja matka. Nie winię jej za to. Kilka lat po niej uciekłem i ja. Nigdy w życiu nie sięgnąłem po alkohol, bo boję się tego, co mógłbym... - urwał i zaczął tasować karty. Mężczyzna nie nalegał. Usłyszał wystarczająco dużo.

Trzecia partia należała do kapitana. - Chciałbym wiedzieć skąd wiedziałeś, że nadejdzie sztorm? Nawet ja po tylu latach na morzu miałem jedynie przecucie i gdyby nie ty, to zginęlibyśmy wszyscy.

- Mój ojciec był kimś podobnym do ciebie kapitanie. Należał do morza, a ono było częścią niego. Nauczył mnie rozmawiać z wodą. Każda fala szepcze do mnie i ostrzega w razie potrzeby. Tyle mogę powiedzieć.

Ledwo skończył mówić, kapitan ponownie rozdawał karty. Ta partia ponownie była jego.

- Nie wyglądasz jak reszta uchodźców, których przewożę. Właściwie to nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Skąd jesteś?

- Oni pochodzą z krain, które ogarnęła wojna i przed nią uciekają. Ja chciałem zakończyć wojnę w moim kraju i uciekam przed gniewem kogoś bardzo potężnego. – zakończył, po czym dodał: - Następna partia będzie naszą ostatnią, rozdawaj.

Kapitan w słowach obcego wyczuł nutę nieznoszącą sprzeciwu. Rozdał. Gracze na przemian rzucali swoje karty, a po kilku chwilach było po wszystkim. Przeliczyli. Był remis. Hundur spojrzał na starego kapitana.

- Nikt nie wygrał. Nie będzie więcej pytań. Należy ci się jednak nagroda gdyż przyjemnie spędziłem czas i nie próbowałeś oszukiwać, a tego nienawidzę. Opowiem ci, zatem pewną historię. Dawno temu na świecie, żyły dwa plemiona bogów, jedni na ziemi, drudzy w niebie. Egzystowali w harmonii, jednak pewnego dnia bogowie ziemi znaleźli cudowny metal, z którego wykuli miecz. Broń ta była tak potężna, że jednym cięciem potrafiła rozplatać chmury. Bogowie nieba poczuli strach i pod osłoną nocy wykradli go. Kiedy bogowie ziemi zorientowali się, co się wydarzyło rozpętała się wielka bitwa. Jedna potyczka

prowadziła do następnej, a obie strony ponosiły ciężkie straty. Wojna trwała eony. Miecz natomiast przechodził z rąk jednych do drugich. W końcu jeden z bogów ziemskich, bóg fal morskich, doszedł do wniosku, że jedynym sposobem, aby zakończyć spór jest zrzucenie miecza z krawędzi świata. Wysłał więc swojego jedynego syna, aby ten wykradł ostrze i zakończył wreszcie tę bezsensowną wojnę. Udało mu się, jednak bogowie nieba wkrótce odkryli, kto stał za kradzieżą i wysłali za nim swoje bestie. – Kiedy skończył mówić statkiem potężnie wstrząsnęło, tak jakby w coś uderzył. Hundur zerwał się szybko i zaczął biec w stronę schodów prowadzących na pokład. Stary kapitan pobiegł za nim, jednak został w tyle. Kiedy w końcu wybiegł na zewnątrz zobaczył obcego w strugach deszczu, stojącego przy burcie. Tuż przed nim była jedynie ciemność. W nagłym blasku

piorunów kapitan mógł dostrzec coś jakby wielkiego węża wyłaniającego się z wody. Hundur zrzucił pelerynę i wyciągnął coś zza pasa. Kapitan widział wyraźnie miecz, który jaśniał dziwnym niebieskim światłem. Z okrzykiem bojowym mężczyzna rzucił się na bestię prosto w otchłań. Kapitan nie zdążył nawet zareagować. Stał tak trzymając się drzwi, aby fale nie zmyły go z pokładu. Po chwili sztorm zaczął cichnąć i wnet nie było po nim śladu. Starszy mężczyzna podszedł do burty i wyjrzał za nią. Nie dostrzegł nic poza ciemnością.

Następnego dnia niebo było niezwykle czyste i po dokonaniu kilku mniejszych napraw mogli wyruszyć w dalszą drogę. Kapitan Mortimer Cook do końca życia nie zapomniał wydarzeń tamtego wieczoru, a peleryna, którą pozwolił sobie zatrzymać ogrzewała go jeszcze przez wiele lat. Kiedy ją nosił i spoglądał na horyzont miał wrażenie, że szepczą do niego fale.